

Choinka w Zimowym Ogrodzie

(fragment niepublikowanej książki „Tyszkiewiczowie. Od Landwarowa do Los Angeles”)

... Kretynka leżała na Zmudzi, nad rzeką Okmiana, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare deby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obieczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego palacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „traba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (...) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykle w sumie domy połączył, urządzonym z basniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego pietra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skalami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki liczным wycieczkom przybywającym z Klajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Polagi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego pietra. Te sama wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema lukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszana turbiną wodną podczas jesiennej sloty, a para wodna

uzyskana z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy lukowe zamieniono na żarówki.

Zycie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyną a Polagą, między zimą a sezonem letnim, polagowskim. Wszystko szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorosli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografie. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na to więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndzie kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgrana grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął stworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-letnia Freulan Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko”. Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemal zachwyty. Po przyjeździe do Kretynki układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor

grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a panna Retty z braku głosu „slicznie gwizdała”. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii zimowego ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i klaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na liczne jej wady i dziwactwa. Przede wszystkim nie spełniała roli, do jakiej była przeznaczona, nauczycielki muzyki i niemieckiego. Uwielbiała wszelkie wyjazdy, co było w zasadzie jej głównym zajęciem. Wszędzie miała znajomych i przyjaciół, wszędzie gnały ją jakieś interesy. Jak zaprzegane były konie przed stajnią, obojętnie kto i dokąd jechał panna była już naszykowana do podróży. Czy to do Polagi, czy do Klajpedy (Memla), czy też do jakiegoś folwarku, wszędzie była pierwsza. W związku z tym nie miała kiedy udzielać lekcji. Niemiecki był wyznaczony na godziny popołudniowe, muzyka na ranne. Po południu gdzieś podróżowała, a rano była strasznie zmęczona po nocnych wizytach u znajomych. Zwykle ziewając wstawiała z łóżka, dawała jakas game do zagrania, po czym zaczynała przyjemnie gawędzić, częstując dzieci cukierkami, których miała mnóstwo od wielbicieli. Była przy tym bardzo nieporządna. Jako główny lokator jej pokoju naczelne miejsce zajmował kot, znaleziony przypadkiem w parkowej alei, który uwielbiał spać na rzucanych na podłogę wieczorowych sukniach. (...)

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmulowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimą do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmulowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasńskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarka kuchni, stolowni i spizarni. Druga wszechwładna osoba w bufecie była panna Petronela Pylinska.

Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej meżatce w prowadzeniu domu. Taka osoba była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle obsługiwała pannę służącą, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr. Zofii panna Pylinska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludną, zawsze starannie ubraną z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i zabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wilenskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła meszty na pantofle, kolonki, na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek „*niech cie kaczkę podepczą*” czy „*na pochyle drzewo kozy skaczą*”. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, „*a po co to wszystko*”, „*nic z tego dobrego nie wyniknie*”, „*a po co pani hrabina tego tyle kupuje*”, „*po co tyle pieniędzy wydawać*” itd. W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące. Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, zartowano, muzykowano na mandolinie. Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (...)

W Kretyndzie pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i rozpaczającej wspaniałej zapach lawendy. Aleje usypane żołądkami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiolety i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków.

Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Polagowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pieciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i choroba meza poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkowa słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne „*l'argent de garde*”. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim esteta, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nigdy nie umiał sobie poradzić z umiarem w wydatkach. (...) Najstarszy Oles wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieleności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się uciesza i przygotować prezenty. Choinka ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na koncu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi niciami, tworzącymi mieniaca się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczysto. Na kolację wigilijną, tzw. „kucje” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich całej towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego kalsztoru. Poziom wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla

tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucje” od modlitwy i dzielenia się oplatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynkami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie zadani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr. Józef bacznie im się przyglądał jak radza sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretynki, żeby zdarzyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyslenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów saspą, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolend przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodziłi do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretynkę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Oginscy z Plungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo karetą zaprzęzoną w czwórce koni, ze strzelcem na kozle obwieszczającym, że książe pan jedzie. Po czym wysiadał książe Michał, mały, czarny, z długim, podkreconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedzinie przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne spędziła życie w ogromnym pałacu w Plungianach, sama, bez dzieci, odwiedzin w sąsiedztwie zwykle wieccelebrowała. U Oginskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapelniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały

rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy kazyły po okolicy o stare księżnej Oginskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdys naloznica cara i stad jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed slubem syna Michala miała swój własny, wygodny apartament w Plungianach. Kiedys przyjechała odwiedzić mloda pare po slubie, dowiedziała sie od sluzby, ze podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak sie zdenerwowała, ze kazala wszystkie meble oraz to co sie dalo zerwac ze scian wuniesc na dziedziniec i publicznie spalic, po czym nigdy juz do syna nie przyjechała.

Goscie typu ksiezna i ksiaze Oginscy wprowadzali bardzo ceremonialna atmosfere. Myslano tylko o tym co wypada, a co nie, zeby przypadkiem kogos nie urazic. Dzieci nie zawsze jednak stosowaly sie do etykiety. Raz podczas takich bozonarodzeniowych odwiedzin mlodziez wymyslila zabawe. Czerpiac wode z malowniczo polozonych szemrzacych strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczela oblewac sikawkami gosci siedzacych na galeriach i sztywno prowadzacych dyspute, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goscie zadni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybil trafil. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo sie rozruszalo i wesolo juz bylo do wieczora. W okresie swiat nie lada rorywka byly zabawy teatralne, majace typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano zywe obrazy, z calym pietyzmem do ról sie przygotowywujac. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goscie i sluzba. Bale kostiumowe tez byly pozadane, jako jedna z rozrywek.. Kiedys, ku zdumieniu wszystkich, wbiegl, a raczej wskoczyl wielkimi susami, gosc z sasiedztwa Stanislaw Gawronski, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i dlugimi wasami. Podobno sluzacy obszywal go cala noc skórkami króliczymi, az zaszył go calkowicie zostawiajac tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybila 12.00, wszyscy szli do kosciola na modlitwe, potem kierowali sie do gabinetu ojca, gdzie czekaly juz poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisana nowa data. (...)